

II

Nie pamiętam początku przedszkola ani koszmarów, jakie musiały wiązać się z pierwszym dniem. Wydaje mi się, że było to blisko naszego domu i zaprowadzała mnie tam, jak zawsze, moja guwernantka. Spośród moich przedszkolnych przyjaciół nie pamiętam nikogo. Z zajęć – jedynie kilka. Były tam błyszczące wstęgi jaskrawo kolorowego papieru, z których mogłam wybrać sobie jeden i potem przepleść go poprzez szczelinę wyciętą w innym jaskrawo kolorowym kwadracie z papieru. To było przyjemne i jeśli udało mi się wykonać tę pracę, nie przerwawszy wstęgi, mogłam moje dzieło zanieść w prezencie do domu, dla mamy albo babci.

Było tam też coś, co nazywało się rytmika. Kazano nam maszerować gęsiego do muzyki z nieustannie zmieniającym rytmem. Chodziło o to, by rozpoznać tę zmianę i natychmiast dostosować do niej krok. Nieuchronnie prowadziło to do częstego rozbawienia, bo w krytycznym momencie wszyscy wpadaliśmy na siebie. To chodzenie gęsiego miało swoje znaczenie. Tradycyjnie na przedzie szła najmniejsza dziewczynka, co dawało jej prawo zmiany kierunku wijącego się za nią szeregu. Niekiedy reguła się zmieniała: kazano nam się obrócić i teraz iść za „ogonem”. Uważałam to za ogromną niesprawiedliwość, bo nie będąc

ALICE COLEMAN SCHELLING

ani najmniejszą, ani najwyższą, nigdy nie mogłam sama prowadzić szeregu.

Następny rok zapadł mi w pamięć dwoma wyraźnymi wspomnieniami, najpewniej z pierwszej klasy. Jedno to pozwolna przyjemna praca tworzenia okrągłych, płynnych kształtów, których wysokość ograniczały linie na rozłożonym przede mną papierze, a wszystkie one, lekko pochyłone w prawo, ciągnęły się w jednym kierunku i wspólnie tworzyły intrygujący deseń. Uczyłam się kaligrafii. Zapisywałam rzędy za rzędami liter A, pięknie falujących A, potem B, potem C; powoli, z przejściem maczając stalówkę co każde trzy litery, przyciskając lekko przy liniach pisanych w górę i delikatnie podnosząc pióro przy pociągnięciach w dół. Moje literki, z wszystkimi swoimi zakrętami, wyglądały jak kwiatuszki, jak winorośle, które widziałam na wsi. Pamiętam ten dotyk pióra w mojej dłoni, kiedy ostrożnie, z radością kreśliłam linie i wydawało mi się, że mogłabym zostać w tej klasie na długi, długi czas, nigdy się nie nudząc. Niekiedy ze zbyt obficie umaczonej stalówki padała na papier wielka kropla atramentu. Mała katastrofa. Ale znaczyło to, że mogę teraz wziąć bibułę, która zawsze była pod ręką, oderwać koniuszek, zrobić malutkie, meszkowate różki, delikatnie dotknąć kleksa samym brzeżkiem bibuły i obserwować, jak atrament nagle się ożywia. Niczym miniaturowa rzeka wdzierał się w bibułę włoskowatymi, nieregularnymi odnogami, tworząc kolejny niezwykły wzór. Na papierze, wśród moich pięknych literek, zostawała okrągła, niekształtna plama, teraz już płaska i sucha, niemniej jednak operacja z bibułą miała swój własny urok, co dobrze równoważyło bilans zysków i strat.

Z tamtego roku zapamiętałam też inną klasę, ale już nie przedmiot, którego się tam uczyłam. W tej klasie siedziałam gdzieś w dalszych ławkach, a moje drugie wspo-

mnienie, niemal tak wyraźne jak to poprzednie, wiąże się z szyją chłopca. Myślę, że miał na imię Jerzy, a moim najskrytszym marzeniem było dotknięcie jego głowy z tyłu, w miejscu, gdzie włosy stają się coraz krótsze i prawie znikają w małym zagłębieniu na karku.

Później, kiedy pękła rama, w obrębie której obrazy mojego dzieciństwa stanowiły całość, i ich treść uległa pomieszeniu, te obrazy to było wszystko, co pozostało w mojej pamięci z owego szkolnego roku: owo ciche, ale zmysłowe podniecenie płynące z rysowania okrągłych kształtów we właściwych liniijkach i delikatna, bezbronna szyja Jerzego. Pozostałam wierna obu tym wspomnieniom, rysując litery na skrawkach papieru, tak jak inni bezwiednie pokrywają papier gryzmołami, i wymyślając w ciągu tych kilku lat wojny różne historie związane z Jerzym, myśląc, co się z nim stało, tworząc różne scenariusze, które pozwoliłyby nam się spotkać; ja być może mogłabym bohatercko uratować go z jakiegoś nieszczęścia, on mógłby ujrzeć mnie z oddali, moje urosłe nagle włosy splecione w długie blond warkocze, i wówczas wyznałby mi, że tam, w klasie, nigdy nie odwracał się do mnie, dlatego że czuł to samo co ja...

I mam jeszcze jedno wspomnienie związane z tym właśnie szkolnym rokiem, a musiał to być ostatni rok przed wojną.

Wiem, choć wątpię, czy potrafiłabym na nowo znaleźć to miejsce, że moja szkoła była blisko naszego domu i że moja guwernantka odprowadzała mnie tam codziennie. Jednego popołudnia – czekałam na nią jak zwykle, i albo ona spóźniała się znacznie, albo ja straciłam cierpliwość i chciałam udowodnić swoją samodzielność – poszłam do domu sama. Za moją inicjatywę spodziewałam się, oczywiście, pochwały i podziwu. Spotkałam się jednak z konsternacją graniczącą z przerażeniem. Jak mogłam coś takie-

ALICE COLEMAN SCHELLING

go zrobić? Czyż nie mówiono mi, żebym nigdy przenigdy nie wracała do domu sama? Pamiętam, że strach przed tym, że tata dowie się o wszystkim, że zostanę ukarana za moje nieposłuszeństwo, rywalizował jedynie z poczuciem wielkiego zdumienia i niezrozumienia. A całe to zdarzenie, ponieważ wydawało mi się zbyt trywialne jak na wykroczenie, a jednak spotkało się z tak niezwykłą reakcją, utkwilo w mej głowie, aczkolwiek, co dziwne, przez długi czas nieroztrząsane, jak coś ważnego, pamiętnego i kłopotliwego, absurdalnego. Siła reakcji dorosłych nie odpowiadała bowiem we właściwy sposób wadze tego występku. Zaprzeczła ona wszelkim racjonalnie uzasadnionym oczekiwaniom w tym skądinąd bardzo racjonalnym świecie.

W późniejszych latach, biorąc pod uwagę okoliczności czasu i złożoność ludzkiej natury, rozważałam jeszcze inne możliwe wyjaśnienia. Pierwsze, i z mojej strony mniej wspaniałomyślne, zakładało, że moja guwernantka zapomniała o właściwej godzinie i nie chcąc przyznać się do swojej winy i ściągnąć na swoją głowę groźby „wysokiego sądu”, wołała zasłonić się moim nieposłuszeństwem. Pamiętam jednak, że sam „wysoki sąd”, choć równie przerażony, wydawał się bardziej zmartwiony niż zdenerwowany tym wypadkiem. I teraz zastanawiam się – jako że musiało to być w przededniu wojny, bo poza tym jednym rokiem nie chodziło się już w Łodzi do szkoły – czy moja rodzina, która musiała odczuwać nadciągające niebezpieczeństwo, choć niezupełnie wiedziała, na czym mogło ono polegać, bała się o mój los zagrożony czymś innym niż końskie kopyta czy nieliczne automobile. Nie mogę tego dobrze umieścić w czasie, ale wydarzenia, które rozegrały się wkrótce na ulicy w pobliżu naszego domu, być może dowodziły słuszności tych obaw.

W tym czasie krążyły różne plotki. Przy stole, w małej jadalni, podnoszono głos i w rozmowach pojawiały się

nowe słowa. A więc kraj, który nazywał się Niemcy. Ktoś, kto nazywał się Adolf Hitler. Nazwisko to z zakłopotaniem i niedowierzaniem powtarzane było często w dyskusji. Byli jacyś ludzie, którzy nazywali się niemieccy Żydzi, skazywani przez czyjeś widzimisię na kary, chociaż nie było dla mnie jasne, za co byli karani ani kto ich karał. Niektórzy, jak słyszałam w czasie niekończących się dysput przy stole, byli „ważnymi ludźmi”. Ale widocznie i z nimi działy się jakieś straszne rzeczy, bez względu na to, jak wysoka była ich pozycja wśród Niemców i jak bardzo zasłużyli się dla swego kraju. To właśnie majątki tych „ważnych ludzi” były „konfiskowane”.

Dyskusje przy stole były częste i namiętne. Moi rodzice i dziadkowie mieli zawsze usta pełne słów. Nie zawsze jadłam ze wszystkimi, ale kiedy już się to zdarzyło, uwagę zwracano tylko na moje maniery przy stole, a co do reszty oczekiwano ode mnie stosowania się do zasady, że dzieci mają być widziane, ale niesłyszane. A zatem słuchałam, niekiedy bez specjalnego zainteresowania, czasem śmiertelnie znudzona, woląc ukradkiem lepić z chleba ludziki podobne do tych dziadkowych. Zawsze jednak, nawet kiedy byłam pochłonięta własnymi fantazjami, byłam świadoma tonu ich głosów, rodzaju dyskusji. W słyszonym z rzadka cichym głosie mamy pobrzmiwał niepokój. Dziadek, jak to było w jego zwyczaju, roztrząsał wszelkie za i przeciw. Babcia była bardziej konkretna i stanowcza; no i na koniec tato, który chciał wszystko wyjaśnić w kategoriach racjonalnych. Rodzina słuchała go z niejakim szacunkiem, bo wydawał się osobą najlepiej poinformowaną i najbardziej wymowną. Ale być może to, co teraz dyskutowano, wymykało się racjonalnym wyjaśnieniom.

Nie było w tym nic niezwykłego, że temat ich rozmów był dla mnie w zasadzie niezrozumiały lub zagadkowy. Polityka, dylematy socjalne, literatura czy stan skórzanego biz-

ALICE COLEMAN SCHELLING

nesu nie budziły mojego zainteresowania. Ale w obecnych rozmowach coś się zmieniło i w intonacji toczonych dyskusji, w potoku płynących zdań wyczuwałam większe napięcie, lęk i jakąś brawurę, a wszystko to przemawiało do mnie samo przez się i kazało mi słuchać uważniej.

Kim byli ci jacyś Żydzi? Dlaczego to wszystko było dla nas ważne? Nie wiedziałam, kim byli ci Żydzi, czy raczej tego, że byli oni inni niż pozostali ludzie. Albo jacyś niemieccy Żydzi, jacyś jeszcze inni Żydzi, jakiś Hitler. Wiedziałam, że Niemcy to taki kraj. Jak Polska. Wiedziałam, że Polska to kraj, bo mój tato mówił o polskiej literaturze i uczył mnie polskich wierszy, i śpiewałam polskie piosenki ludowe. Znałam na pamięć hymn narodowy, kolory flagi, wiedziałam, że marszałek Piłsudski był bohaterem, tak jak Chopin. Wiedziałam z całą pewnością, że Polska pełna była bohaterów. Czytałam o tych bohaterach i o wszystkich ich dzielnych i chwalebnych czynach. Ci bohaterowie walczyli za ojczyznę i najczęściej za nią ginęli, ale to była nieodzowna część bohaterstwa, a ich śmierć była zawsze wspaniała. Nie słyszałam jednak niczego o bohaterach w Niemczech, a to, co do mnie dochodziło, to były jedynie jakieś ledwo zrozumiałe formułki; wyczuwałam raczej, że dorośli, mówiąc o tym, byli zakłopotani i brakowało im pewności. Potem mój słownik wzbogacił się o nowe słowa.

To stało się, kiedy szłam ulicą z moją guwernantką. Kiedy przypominam sobie tę scenę, obrazy pojawiają się początkowo w zwolnionym tempie i w ciszy. Snułyśmy się po chodniku w pełnym blasku dnia, słońce właśnie zniknęło z jednej strony sennej ulicy. Podążałyśmy za słońcem; zeszyłyśmy z zacienionego teraz chodnika i, maszerując po jezdni, przecięłyśmy ją na ukos, by dostać się na drugą stronę i cieszyć się słonecznymi promieniami. Kiedy weszłyśmy w krąg wiosennego słońca i doszły do skrzyżowania, popołudniowe cienie ustąpiły miejsca blaskowi światła

i łagodnemu ciepłu. Potem wszystko się zmienia. Ów niemy film zaczyna pędzić chaotycznie, wybuchają serie przerażliwych okrzyków. Skrzyżowanie nagle pełne jest ludzi. Ludzie biegną. Ludzie krzyczą. „Pogrom! – wrzeszczą. – Pogrom!” Pomędzy ogarniętymi popłochem ludźmi widzę mężczyzn z pałkami. Biją na oślep. Moja guwernantka wykrzykuje coś niezrozumiałego, może to jest właśnie to słowo, chwyta mnie gwałtownie za ramię, ale szybko zapominam o bólu i oburzeniu na tak brutalne potraktowanie, bo obie znajdujemy schronienie w szerokiej bramie jakiegoś domu, już pełnej stłoczonych i skulonych ludzi, osłaniających rękami głowy w obronie przed ciosami pałek. W chwilach takich jak ta cywilizacja przestaje istnieć.

Kiedy już było po wszystkim czy raczej kiedy minęła nas owa fala przemocy i popłynęła dalej, dobrnęliśmy do domu. Guwernantka, już teraz bezpieczna w naszej małej jadalni, ściągnęła z ramion bluzkę i na białej skórze jej przedramienia zobaczyłam podłużny obrzęk, czerwoną, lepką plamę w miejscu uderzenia pałką. Kto wówczas stał dokoła niej? Pamiętam tylko światło padające na jej ramiona, kiedy odwróciła się do okna, żebyśmy wszyscy mogli widzieć lepiej, pamiętam pochylone nad nią w konsternacji głowy, szok i niedowierzanie, i coś w rodzaju pełnego strachu podekscytowania.

To była wiosna 1939 roku.

Na razie niewiele się zmieniło po tym pierwszym niezrozumiałym dla mnie zdarzeniu i kiedy minęły zimowe dni, a wiosna przechodziła w lato, nie budziło mnie już rozpalanie ognia w piecu przez służącą ani szczęk metalu uderzającego o metal. Teraz, nietłumiony już przez śnieg i szczelnie zamknięte podwójne okna, mój pokój napełniał głuchy, rytmiczny odgłos końskich kopyt na bruku; splatał się z obrazami moich snów i przynosił ze sobą znajomą i nierozwiązywalną zagadkę, która mościła się w mojej za-

ALICE COLEMAN SCHELLING

spanej głowie. W rozleniwieniu widzę końskie nogi zginające się w stawach, a potem uderzające o bruk. Na wpół rozbudzona usiłuję połączyć odgłos stukotu z obrazem kopyt uderzających o ziemię. Odmienne odgłosy kopyt nieco pomagają, ale i tak nie potrafię poradzić sobie z tą zagadką. Słyszę te dźwięki: „klik-klak”. Ale nieustannie mnie to intryguje i usiłuję ustalić, w jaki sposób konie stawiają kopyta, że nie słysząc pojedynczego dźwięku, a zawsze: jedno kopyto – i po nim drugie, jedno kopyto – i po nim drugie. „Klik-klak, klik-klak” niesie się w mojej głowie, podczas gdy obrazy koni przepływają powoli, aż odgłosy te cichną i nieme obrazy nikną po chwili we mgle.

Zimą, w ciemności rozbrzmiewającej odległymi i stłumionymi odgłosami końskich kopyt, sen przychodził łatwo. Te odgłosy łączyłam zawsze z wozami, którymi przywożono nam towary, jak ową bryłę lodu w naszej spiżarni, czy później w ciągu dnia, do drzwi od tyłu mieszkania, sery i masło, i jajka. Teraz jednak te odgłosy wpadały beztropko przez otwarte okna wraz z blaskiem dnia, a ja myślałam o lecie i sen odchodził.

Latem zawsze jeździliśmy na wieś. To znaczy ja jeździłam na wieś z guwernantką. Rodzice i dziadkowie przyjeżdżali pociągiem odwiedzić nas co pewien czas, ale wtedy nie zdawałam sobie na tyle dobrze sprawy z upływem czasu, by zorientować się, jak często zdarzały się te wizyty. Nie jeździliśmy już jednak do tego mitycznego miejsca, które zapoczątkowało moje przygody z psami, gdzie owocowe drzewa zarastały ściany domu, gdzie młóciło się pszenicę, wyganiało krowy na pastwiska, gdzie konie brykały na wolności i gdzie wciąż roiło się od rozmaitych cioc, wujków i kuzynów. Teraz rodzice taty już nie żyli, a gospodarstwo przejął mój wujek Szymek – ten sam, z którym dzieliłam wspomnienia błęgiego spania z psami – i większość pozostałego rodzeństwa, siostry taty i jego bracia,

ALICJA PO DRUGIEJ STRONIE DRZWI

ułożyli już sobie własne życie i tylko od czasu do czasu wracali na krótko do tego miejsca. Nie wiem, czy to z powodu śmierci rodziców taty i wywołanych tym późniejszych zmian, czy ze względu na odległość z Łodzi do Krakowa i do gospodarstwa w Borku, w każdym razie znalazłam się z moją guwernantką w jakimś innym miejscu, gdzie kilka letniskowych domów z wielkimi werandami otaczało wspólny trawnik i klomby. Były tam i inne dzieci, w różnym wieku, i całkiem sporo guwernantek. To, wobec nieobecności moich i prawdopodobnie innych rodziców, mogło spowodować, że zapamiętałam łagodniejszą kontrolę moich postępów. Nie było tam, o ile dobrze pamiętam, stałych pór posiłków z wyjątkiem jednego rytuału. Pozostawiono co do mnie wyraźne polecenie, że codziennie, dla mojego zdrowia, muszę pić szklankę soku pomidorowego, który miał być świeżo wyciśnięty i przesączony przez sitko, i przykazano mi surowo, bym przychodziła na to picie każdego ranka. Ale to był mój jedyny obowiązek.

Budziłam się codziennie z wpadającymi do pokoju promieniami słońca i myślałam, że to niewiarygodne, żeby pogoda w ogóle się nie zmieniała; moje wspomnienia porannych chwil są zawsze takie same: jest słońce, wydęte od wiatru zasłony, uporczywy świergot ptaków i niekiedy chrzęst żwiru na ścieżce. Zawsze przy przebudzeniu, a przynajmniej teraz ta scena nabrała cech stałego doznania, miałam przedsmak błogiego porzucenia. Poza obowiązkowym pić soku pomidorowego i pospiesznie połykanymi posiłkami nikt nie starał się układać mi dnia ani komentować mojego zachowania. Co rano znajdowałam przy łóżku parę majteczek, letnią sukienkę, którą zrzuciłam z siebie poprzedniego wieczoru, i sandałki. Ten strój stał się symbolem mojej chwilowej wolności. Żadnych plisowanych sukienek, lakierowanych butów i białych podkolanówek, a jedynie cudowne doznania gołych palców znaj-

ALICE COLEMAN SCHELLING

dujących znane sobie miejsce w sandałkach, cudowne tortury wywoływane przez kamyki albo patyczki, które co jakiś czas trzeba było wytrząsać z butów.

Tych kilka willi zwróconych do siebie frontem na odległość oddzielającego je trawnika, takiego prawie wiejskiego parku, otaczały zewsząd lasy, pola i drogi. To właśnie w tych lasach buszowaliśmy, bawiliśmy się i snuli nasze fantazje. Przeczytaliśmy, czy chyba starsi spośród nas przeczytali nam, że Indianie robią swoje kanoe z wydrążonego pnia drzewa oraz z kory, i od tej pory naśladowanie Indian stało się jednym z naszych najbardziej ulubionych zajęć. Jako że nie byliśmy w stanie poradzić sobie z pniami drzew, musieliśmy zastąpić je korą – podważaliśmy zatem wielkie kawały kory i odłupywaliśmy ją z nieszczęsnych drzew.

Siedząc na usłanej sosnowymi igłami ściółce, ociosywaliśmy brązowe kawały kory, przy czym nasza satysfakcja uzależniona była od rozmiarów kawałka kory, jaki każde z nas zdołało znaleźć, i od jego symetryczności, którą uzyskiwało się poprzez przykrawanie kory ostrymi kamieniami. Owe płaskie kamienie, których do tego celu używaliśmy, stały się częścią naszej zabawy. Dostrzegaliśmy w nich określone kształty: a to prehistorycznego noża, a to grotu strzały czy młota. Snuliśmy opowieści o tym, jak to było, kiedy w naszym lesie żyli „Indianie”, i wiedzieliśmy z pewnością, że niektórzy z nich nadal się tu ukrywali, i gdyby przypadkiem wyszli teraz z kryjówek, byliśmy gotowi dowieść, że zasługujemy na przyjęcie nas do ich plemienia. Niekiedy samo to wystarczało, byśmy oddawali się niekończącemu się fantazjowaniu. Kiedy indziej, przy sprzyjającej pogodzie, poddawaliśmy nasze „kanoe” próbom. Najlepszy do tego celu był rów z płynącą wodą, ale jeśli nie było ostatnio deszczu, to wystarczyć musiała kałuża. Wodowaliśmy nasze „kanoe”, a następnie popychaliśmy je i kierowaliśmy nimi za pomocą patyka. Większość z nich, nierównych

na spodzie, wywracała się do góry dnem albo dryfowała na któryś z boków. Niekiedy jedno lub dwa „kanoe” płynęło właściwie i pozwalało nam przez długi czas wymyślać opowieści o siedzących w środku ludziach. Kiedy indziej, także na cześć naszych „Indian”, zdzieraliśmy z brzoź płyty białoczarnej kory i próbowaliśmy robić z niej mokasyny, klejąc poszczególne pasma naszym kolejnym odkryciem – lepłą sosnową żywicą o barwie bursztynu. Żywica pachniała silnie i upajająco, przywierała do naszych palców równie mocno jak do brzoźowej kory i sklejała nam włosy. Woń żywicy miała w sobie jakąś niejasną podniechęć, coś, co potem wyczarowywało wielkie przygody, dzikich i bohaterskich ludzi i cudowne, mocarne konie. Kiedy znudziły się nam brzoźowe mokasyny i „kanoe” z kory, wyruszyliśmy na łowy w poszukiwaniu giętkich gałązek, czegokolwiek, co dałoby się bez złamania wygiąć w łuk. Odłamywaliśmy takie witki, paznokciami albo kamieniami zdzieraliśmy z nich korę, aż nasze dłonie i ubrania pokrywały się zielonymi plamami. Przywiązywaliśmy sznurek do obu końców gałązki i szukaliśmy następnych – na strzały. Te z kolei ostrzyliśmy i nacinali odpowiednio do cięciwy. Powalone drzewo albo dwa stawały się nieokiełznanyimi końmi, które musieliśmy ujarzmić przed wyruszeniem na polowanie, pościg czy na odsiecz. Potem losowaliśmy, czy będziemy Indianami czy Robin Hoodem, czy też w naszym świecie fantazji to będzie to samo.

Raz czy dwa razy ogarnęła nas taka nuda, że porzucaliśmy te zabawy na rzecz czegoś innego. Związane z tymi wspomnieniami uczucia zabarwia jakieś niezrozumiałe wówczas podniecenie połączone z zakłopotaniem i ciekawością. Jedno z dzieci zaproponowało, abyśmy pokazali sobie nawzajem, jak siusiamy. Chłopcy obiecali, że pokażą nam „swoje”, jeśli my pokażemy im „nasze”. Koniec końców, kiedy wróciliśmy wszyscy do domu, miałam poczucie

ALICE COLEMAN SCHELLING

winy i zastanawiałam się, czy moja guwernantka bez słowa, patrząc jedynie na mnie, zorientuje się, co się stało.

Jakimś sposobem udawało mi się być poza kontrolą guwernantki również wieczorami. Może w domu były jakieś starsze dzieci, których opiece mnie powierzała. Wtedy bowiem na skraju naszego terenu, który graniczył z ziemniaczanym polem, urządzone było ognisko. Zawsze ktoś musiał się odważyć pójść na pole i ukraść trochę ziemniaków. Kiedy przyszła moja kolej, odkryłam po raz pierwszy w życiu ów cudowny i dziwny dotyk chłodnej, wilgotnej ziemi, bujnego życia pod jej powierzchnią, gdzie moje palce, zanurzone pod liściasty krzaczek, odkrywały wiązki bulwiastych korzeni, powiązanych, szczepionych wzajemnie, a poruszona ziemia wydawała nieznany, ale silny i żyzny zapach. Było coś naprawdę wspaniałego w tym poszukiwaniu po omacku owego dosłownie „zakazanego” owocu.

Staraliśmy się wybierać tylko duże ziemniaki, ale średnie też mogły być. Wrzucaliśmy je potem do ogniska i siedaliśmy dokoła, czekając. Od czasu do czasu któreś z nas udawało, że widzi w oddali złowróżbną sylwetkę człowieka i wszczynało panikę, że to idzie ten „chłop”, by nas ukarać. W popłochu, jaki wówczas wybuchał, docierało do mnie niejasno, że w naszej paczce dzieci istnieją podziały. Że to ci bardziej wygadani i odważni spośród nas tworzyli atmosferę naszych spotkań, że ten popłoch był właśnie po to; popłoch, który wywoływano częściowo po to, by spotęgować przyjemność płynącą z zabronionych postępów, a częściowo – by zdominować słabszych członków grupy. Nie umiem powiedzieć, do której grupy się zaliczałam, ale jako że należałam do dzieci najmłodszych, byłam prawdopodobnie pomiędzy tymi najbardziej łatwowiernymi. W końcu zrozumiałam przecież, czemu służyło to panikowanie; nigdy nie dostaliśmy bury za kradzież ziemniaków.